

# Niech powrócą wspomnienia – 8

7 lipca 2019

Dzisiaj przypominamy twórcę Telewizji Dziewcząt i Chłopców (TDC) – Macieja Zimińskiego.

Maciej Zimiński był chłopakiem z Woli. Z warszawskiej Woli. Zawsze podkreślał, że mówiąc o sobie najchętniej by opowiadał o szczęściu i przypadku, bo obie te rzeczy przez całe życie mu towarzyszyły. Szczęście zwykle pozytywnie, natomiast przypadki bywały także i w ciemnych barwach.

W wieku 7 lat wyjechał z rodzicami do Wilna, albowiem jego tata awansował na szefa nowego wileńskiego oddziału „Naszej Księgarni”.

W Wilnie Maciej rozpoczął edukację, a że był nad wiek odcytany i jego wiedza daleko wykraczała poza pierwszy oddział, więc od razu poszedł do klasy drugiej. Nauka szła mu dobrze, ze zdrowiem znacznie gorzej. W lutym 1938 roku zachorował na szkarlatynę. Była to wówczas bardzo ciężka choroba.

„Moja mama, jak to dobra, kochająca mama, nie oszczędzając się, pielęgnowała mnie” – wspomina. „W rezultacie sama się rozchorowała na płuca i w końcu kwietnia '38 zmarła. W czerwcu 1939 wróciliśmy z tatą do Warszawy”.

Wybuch wojny i niemiecka okupacja nie przerwała edukacji Macieja. „To świadectwo ukończenia klasy 7 opatrzone datą 1944. Mam na nim wszystkie oceny bardzo dobre. Faktycznie jednak 7 klasę ukończyłem w roku 1943. Cenzurkę mi wręczono po czym zabrano i zakomunikowano: zostajesz na drugi rok! No, skoro tak zdecydowano, to we wrześniu stawiłem się na lekcje. Jak przystało, wręczono mi legitymację uczniowską i... zakazano pokazywania się w szkole. Cały trick polegał bowiem na tym, żeby fikcyjnie uczynić ze mnie jeszcze przez rok ucznia, bo to dawało pewną ochronę przed mało przyjaznymi władzami niemieckimi”.



Któregoś dnia, pod wpływem kolegów, którzy namawiali go aby wstąpił do Zawiszków, czyli najmłodszej grupy konspiracyjnego harcerstwa, poszedł do swego nauczyciela zwierzyć się i zapytać o radę.

„Wiesz co – powiedział Maćkowi – nie wstępuj do Zawiszków, będziesz żołnierzem w naszym batalionie. I tak mając lat 13 i pół zostałem, no chyba muszę powiedzieć to w cudzysłowie, „żołnierzem” batalionu Armii Krajowej Kiliński”.

28 lipca 1944 roku w gmachu szkoły przy ulicy Miedzianej 8 wziął udział w zgrupowaniu kompani. Ostatnim przed wybuchem powstania.

„To był piątek, a w sobotę wraz z tatą, który też miał swoje kontakty i wiedział, że powstanie wybuchnie lada dzień, pojechaliśmy do Józefowa pożegnać się z bliskimi. Nazajutrz mieliśmy wracać do Warszawy. Tymczasem w niedzielę o 6.00 rano byliśmy już wyzwoleni i owego 30 lipca 1944 roku z dwoma kolegami wieszaliśmy na stacji Józefów biało-czerwoną flagę” – wspomina.

„Słowo szczęście może zabrzmieć tutaj dla kogoś mało elegancko, ale dla mnie cudownie, bo całe powstanie spędziłem poza Warszawą. Może dzięki temu siedzę tu Sławeczku z tobą i mogę opowiedzieć o tamtych dniach. Moi koledzy z plutonu, najbliżsi przyjaciele, nie mieli tyle szczęścia. Zginęli w domu Marszałkowska róg Siennej na który spadła bomba” – dodaje.

W końcu stycznia 1945 roku razem z ojcem, przez skutą lodem Wisłę, dotarł do Warszawy. Widok, jaki ukazał się ich oczom, był przerażający. Nie było miasta, nie było ich domu, ale dziwnym trafem przy Mokotowskiej ocalała księgarnia jego taty. Tam się zatrzymali. Ojciec cudem zdobył żelazny piecyk, zwany kozą. Na szczęście za kontuarami zachował się fragment drewnianej podłogi, więc urządzili sobie na nim legowisko.

Wiosną 1945 roku zobaczył na murze jakiejś kamienicy napisane ręcznie ogłoszenie, że przy ulicy Rakowieckiej 23 wznawia działalność Gimnazjum i Liceum Rejtana. Pobiegnął tam szybko, by wpisać się na listę uczniów.

„To zabrzmiało dzisiaj zabawnie, ale warunkiem przyjęcia do gimnazjum było przyniesienie własnego krzesła! Właśnie krzesła, bo w szkole nie było żadnych mebli” – wspomina. „Przed wojną faktycznie mieścił się tam Rejtan, lecz w czasie okupacji działały w tym budynku niemieckie zakłady wyrobów skórzanych. Przez pierwsze tygodnie mieliśmy wielkie sprzątaniny: wnoszenie ścinków, wstawianie okien, kitowanie szyb, słowem – przygotowania do rozpoczęcia lekcji”.

Wkrótce z kolegami reaktywował słynną „Czarną Jędrkę” – pierwszą warszawską drużynę harcerską. Maciejowi powierzono funkcję sekretarza.

„Złatwiałem formalności z wręczeniem krzyży harcerskich i przez zupełny przypadek, bo nie ma w tym żadnej mojej zasługi, zostałem posiadaczem, co jest uwidocznione w książeczce służbowej, odznaki serii pierwszej numer pierwszy z roku 1945. Całkowicie żartem mogę więc powiedzieć, że jestem pierwszym powojennym harcerzem” – mówi.

Po maturze zdał egzaminy do Szkoły Głównej Handlowej, przemianowaną później na Szkołę Główną Planowania i Statystyki, tak więc, chcąc nie chcąc, skończył SGPiS.

„Moją specjalizacją była organizacja i technika handlu” – dodaje. „Czyli mógłbym zostać ekspedientem w sklepie. Ale równocześnie zacząłem studiować dziennikarstwo. Najpierw w Akademii Nauk Politycznych, bo tam było Studium Dziennikarskie, potem na Uniwersytecie. W 1952 roku zostałem absolwentem do kwadratu: i SGPiS-u i Uniwersytetu Warszawskiego”.

Pamiętajmy, że były to czasy, gdy absolwentom wyższych uczelni wręczano nakazy pracy. Maciej czynił usilne zabiegi, aby dostać skierowanie do „Naszej Księgarni”, z którą współpracował od 1949 roku, ale początkowo nie układało się po jego myśli. Otrzymał przydział do Referatu Prasowego Ministerstwa Szkół Wyższych. Wybronił się jakoś i ostatecznie trafił do upragnionego wydawnictwa: „Gdy przyniosłem nakaz pracy, trzeba było rozwiązać ze mną wcześniej podpisaną umowę. Traf chciał, że na Placu Unii spotkałem kolegę, który był zastępcą naczelnego redaktora „Świata Młodych”. Zapytał: Maciek, czy nie przyszedłbyś do nas do pracy? Ja, wykorzystując chytrze, ale może nie całkiem zgodnie z prawem fakt, że dostałem już wypowiedzenie, a nakaz jeszcze nie zaczął obowiązywać, uciekłem do tej harcerskiej gazety”.

I tak jesienią 1952 Maciej Zimiński z dwoma dyplomami w kieszeni – organizacji i techniki handlu oraz dziennikarstwa – rozpoczął pracę w „Świecie Młodych”. Pasja i talent pozwoliły mu szybko awansować. Został sekretarzem redakcji. Był lubiany przez koleżanki i kolegów. Potwierdza to Stanisław Borowiecki, który pod jego okiem stawiał pierwsze dziennikarskie kroki: „Maciek był dla nas i kolegą i autorytetem. Czuliśmy przed nim respekt. Gdy nie wiedzieliśmy jak ugryźć temat, on zaledwie dwoma, trzema słowami naprowadzał na właściwy tor. Naprawdę szkoda, że odszedł do telewizji, bo był dla „Świata Młodych” cennym nabytkiem z olbrzymim workiem fantastycznych pomysłów, a także jednym z filarów redakcji”.

W 1964 roku znowu dały o sobie znać: przypadek i szczęście. Tym razem uosabiał je Włodek Grzelak, kolega Macieja, który w telewizji piastował funkcję szefa programów dla dzieci: „Włodek najzwyczajniej w świecie wziął mnie za rękę i sprowadził na Plac Powstańców” – wspomina.

W tym samym czasie rozpoczęła tam pracę Zofia Chećko: „Stanowili zgraną ekipę. Mieli wspólne poglądy na wychowanie, na kształtowanie postaw z tym, że Maciej wyróżniał się umiejętnością przełożenia tej całej ideologii na konkretny

program. Pierwszą i najważniejszą zasadą jaką wprowadził był szacunek do widza oraz traktowanie go bardzo serio. „Rzeczywiście dbał, abyśmy rozmawiając z dziećmi nie kucali i nie szczebiotali” – przyznaje Zofia Chećko.

Był wulkanem pomysłów. Wymyślił „Ekran z Bratkim”, wymyślił „Teleranek”, wymyślił „Zwierzyniec”, wymyślił „Teleferie”, wymyślił „Ligę Entuzjastów Wakacji” i wiele innych. Te programy tworzyły całą instytucję, którą była Telewizja Dziewcząt i Chłopców. Oprócz tego funkcjonowała jeszcze Telewizja Najmłodszych i Telewizja Młodych w ramach jednej wielkiej Naczelnej Redakcji Programów Dziecięcych i Młodzieżowych.

„Była jedna zasada, wręcz świętość, której musieliśmy się twardo trzymać” – podkreśla red. Zofia Chećko. „Nasz widz miał być wychowywany na człowieka aktywnego, odpowiedzialnego i pomysłowego. Zdarzało się, że szef przyjmując ode mnie scenariusz pytał: no dobrze, ale co widz z tego będzie miał? Czy on się czegoś nauczy, czy on się czegoś niezwykłego dowie? Trzeba się było starać”.

Autorstwo: Sławomir W. Malinowski

Źródło: [Trybuna.info](http://Trybuna.info)